

Smrek – świerk w gwarze podhalańskiej

PROLOG

Las wokół niewielkiej polany stał bezszelestnie, a jedynymi odgłosami przecinającymi ciszę były świergoty ptaków. Na pniu powalonego przez halny drzewa siedziało trzech górali. Najstarszy z nich – osiemdziesięciodwuletni Staszek, wysoki, chudy, żylasty – uniósł do słońca pooraną zmarszczkami twarz i zamknął oczy, lecz po chwili spojrzął na swoich towarzyszy spod lekko uchylonych powiek. Władek i Jędrak podobnie jak on wystawiali twarze do słońca i cieszyli się pierwszym ciepłym dniem tej wiosny. Wiedzieli, że zima na Podhalu nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa, jednak w tej chwili nie miało to znaczenia. Było ciepło i błogo.

Znali się od zawsze. Wszyscy trzej urodzili się i wychowali w Kościelisku, które było ich miejscem na ziemi. Tam znaleźli żony i się pobudowali. Tam urodziły się ich dzieci, wnuki i prawnuki. Tam dorobili się majątków, które pomnażali, by zapewnić swoim rodzinom dostatnie życie. I wiedzieli, że tam umrą.

Staszek włożył do ust ostatni kawałek moskole*, którego dała mu na drogę żona. Przeżuując, wytarł dłonie

* Moskole – placki z ziemniaków i mąki pieczone na blasze.

o bukowe portki. To była jego dwudziesta druga para i wiedział, że już ostatnia. Nosił takie portki, odkąd pamiętał, i nie wyobrażał sobie, że mógłby nosić inne. Nie ma nic lepszego od solidnych bukowych portek. Z czarnym lam-pasem, z paradnymi parzenicami przy przyporach są nieodłącznym elementem stroju góralskiego. Ale dla niego to po prostu portki. Miał dwie pary, jedną do ciorania na co dzień, drugą do kościoła – w tych go pochowają.

Za młodu Staszek fiakrował, woził panów dorożką, a wieczorami uczył się od ojca kowalstwa artystycznego. Zarobione pieniądze mądrze inwestował w działki nie tylko w Kościelisku, ale i w Zakopanem.

Wyjął z kieszeni portek fajkę, nabił, zapalił i głęboko się zaciągnął. Spojrzał najpierw na potężny świerk wznoszący się ku niebu pośrodku polany, a później na swoich kolegów.

Władek zajmował się stolarstwem i snycerką, a meble, które robił, zdobiły nie tylko prywatne domy, ale także pensjonaty, hotele, a nawet muzea. Wyróżniały go wysoki wzrost i przygarbione plecy. Po latach ciężkiej pracy brakowało mu kawałka serdecznego palca u lewej dłoni i kawałka środkowego u prawej, mimo to wciąż przesiadywał w swoim warsztacie. Najstarszy syn poszedł w jego ślady, a dwóch młodszych prowadziło dużą firmę hydrauliczną.

Jędrzek był najmłodszy z nich, miał siedemdziesiąt osiem lat. Niski, z dużym brzuchem i lysiną, rzadko ubierał się po góralsku. Ponieważ dokuczał mu reumatyzm, tego dnia miał na sobie ocieplane dżinsy, wełniany sweter, a na nim puchową kurtkę. Pierwszych dużych pieniędzy dorobił się na karczmie i pensjonacie, które pobudował w Zakopanem. Potem przyszły kolejne inwestycje. Wszyscy jego trzej synowie pracowali w hotelarstwie i gastronomii.

– Władziu – przerwał milczenie Staszek – pociągnij ze jednym niewysokom.

Władek uśmiechnął się szeroko i przez krótką chwilę pod bujnymi wąsami widać było jego żółte od palenia papierosów zęby.

Odchrząknął, nabrał głęboko powietrza i zaśpiewał:

Kie my sie tu zešli...

Gdy tylko wybrzmiał pierwszy wers, Staszek i Jędrzek dołączyli do niego, śpiewając drugim, niższym głosem:

*Zaśpiewojmy razem
Potem se pódziemy
Zielonym uplazem.*

*Potem se pódziemy
Zielonym uplazem...*

Śpiewali głośno, a rzewna melodia niosła się przez polanę ku wierzchołkom drzew. Gdy skończyli, Jędrzek wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki piersiówkę ze śliwownicą i puścił ją w obieg. Wódka była mocna, aż zatykało, ale przyjemnie grzała od środka. Po trzech kolejkach wypitych w pełnym powagi milczeniu Staszek spytał:

– Jendrek, godoleś z wnukiem?

Jędrzek kiwnął głową i wyciągając ręce z kieszeni kurtki, żeby poprawić opadającą na oczy czapkę, odparł krótko:

– Godolek.

– I co? – chciał wiedzieć Władek.

– Pedziol, ze my, starzy, momy siedzieć z boku. Ze nase casy juz mineny. Ze teraz oni, młodzi, gazdujom i bedom to robić po swojemu.

– Niedobrze. – Staszek pokręcił głową. – Niedobrze. To ich gazdowanie źle sie skońcy. Trza sie nom, chłopy,

pomodlić, coby naszym młodym chłopcom rozumu nie brakło.

– Rozum to oni mają, ino cierpliwości im brak – stwierdził Jędrzek.

– To co robimy? – spytał Władek.

– Czekamy i uświadymy, co będzie – zdecydował Staszek. Martwił się. Młodzi chcieli żyć inaczej niż ich dziadkowie. Z jednej strony było to zrozumiałe, a z drugiej niepokojące. Stary dobry porządek sprawdzał się przez lata i Staszek przeczuwał, że zmiany ściągną na nich kłopoty i żadne modlitwy nie pomogą. – Jo wiym, Jendruś, że oni chcom dobrze – dodał – ale musimy zbacyć, co by sie nie zatracili.

– Będem na nik zbacowoł – obiecał Jędrzek.

Staszek kiwnął głową na znak, że się zgadza i że uważa temat za zamknięty.

– To co? Jesce jednom, zakiela pódziemy w chałupie?

Władka nie trzeba było dwa razy prosić. Zamknął oczy i zaśpiewał:

*Byli chłopcy byli
Ale sie mineni
I my sie miniemy
Po malućkiej kwili.*

*I my sie miniemy
Po malućkiej kwili.*

Wypili jeszcze po łyku śliwowicy i wolno ruszyli w drogę powrotną do swoich domów. Szli przez las wąską, ledwie widoczną ścieżką, aż dotarli na polanę Kosarzyska, gdzie zawsze odpoczywali. Usiedli pod szaląsem i w milczeniu spoglądali na panoramę Tatr. To był ich świat. Świat gór, świerkowych lasów i polan, świat starych nut, bukowych portek i tradycji kultywowanej z dziada pradziada.

Po godzinie dotarli do głównej drogi, gdzie zostawili samochód.

Staszek czuł niepokój. Nadciągało coś złego, coś, czego nie potrafił opisać. Nim wszedł do domu, wyjął z przewieszzonej przez ramię torby pasterskiej sadzonkę małego świerka, którą wykopał w lesie, znalazł dla niej miejsce w ogrodzie i umieścił ją w ziemi, szepcząc przy tym słowa, które miały ochronić i sadzonkę, i mieszkańców domu.

Wszedł do starej drewnianej chałupy, tej, którą pobudował jego ojciec i w której Staszek się wychował. Nie potrzebował luksusów i wygody. Po śmierci ojca wrócił tu z żoną, a majątki i okazałe domy zostawił dzieciom i wnukom. Z każdym kolejnym rokiem coraz bardziej doceniał prostotę i klimat starego domostwa. Płazy poprzecinane były pęknięciami podobnymi do zmarszczek, takich samych, jakie znaczyły jego twarz. Gdy wstawał rano z łóżka, drewniana podłoga skrzypiała jak jego kości. A w obrazach na szkle, podobnie jak w jego oczach, odbijała się historia jego rodu.

Zdjął w sieni kozuch i kapce, wszedł do kuchni, usiadł przy stole, sięgnął do kieszeni portek i wyjął z niej świerkowe igliwie.

– Hanka – zwrócił się do żony, która postawiła przed nim talerz pomidorowej – trza by mi to wsyc do kosuli, wiys ftorej, tej nowej.

– Dobrze, Stasiu, zrobiem to jutro. A teraz zjedz zupe – odparła, zgarniając do garści rozsypane na stole drobne igielki.

– A to, co ostanie, zanieś do Jadźki, niek nowemu dziecysku włoży pod poduske, co by urosło silne i wysokie jako drzewo.

Hanka kiwnęła głową, zawinęła igły w wyjętą z szuflady komody chusteczkę i schowała do kieszeni fartucha.

Gdy Staszek skończył jeść, pozmywała, po czym poszła do dużego pokoju. Mąż leżał na kanapie i drzemał, w telewizji leciały wiadomości, nawet nie spojrzała, jaka to stacja, zresztą nie lubiła polityki. Usiadła w fotelu, wyjęła z koszyka druty i wełnę i zaczęła dziergać skarpety dla prawnuka, nucąc coś pod nosem.

TERAZ

To miał być wyjątkowy dzień. Jagna Biernacka rozpoczęła swój trzydziesty rok życia. Spodziewała się życzeń, kwiatów i tortu, a tymczasem nic nie szło po jej myśli. Artur, wychodząc rano do pracy, pożegnał ją szybkim cmoknięciem w policzek, zupełnie jakby nie pamiętał o jej urodzinach. Rozczarowana jego zachowaniem, dwa razy spaliła tosty i zachlapała sobie bluzkę kawą. Dzień zakończył się awarią samochodu, który utknął na parkingu przed redakcją „Tygodnika Podhalańskiego”.

Całą winą za to, że przed północą wracała do domu na piechotę, obarczała artystę, który spóźnił się na zaplanowany na ten dzień wywiad. Umówili się w kawiarni „Tygodnika” w Granicie wczesnym popołudniem i o siedemnastej powinna mieć materiał do artykułu do działu kultury. Kolejne dwie godziny zamierzała spędzić na pisaniu go i wrzuceniu na makietę. O dwudziestej powinna być w domu.

Tego dnia jednak los zdecydował się pokrzyżować wszystkie jej plany. Artysta malarz nie zjawił się o umówionej porze, a gdy wreszcie odebrał telefon, przełożył spotkanie o trzy godziny. W ten sposób do redakcji dotarła po dwudziestej. Nie byłoby w tym niczego strasznego, gdyby

nie to, że gdy wyszła z pracy, okazało się, że jej dwudziestoletni Opel nie chce zapalić. Od kilku miesięcy mówiła Arturowi, że akumulator ledwie zipie, on za każdym razem obiecywał, że kupi nowy, i na obietnicach się kończyło.

Tymczasem wieczorem znów złapał mróz. Marzec roku 2025 nie mógł się zdecydować, czy chce być wiosną, czy jeszcze pozostać zimą, więc był na zmianę jednym i drugim. Tego dnia zrobiło się przenikliwie zimno i akumulator ostatecznie odmówił współpracy.

Jej urodzinowy pech nie skończył się jednak na unieruchomionym samochodzie. Artur nie odbierał telefonu, a wezwanie mechanika o tej porze nie wchodziło w grę. Na dodatek w chwili, gdy Jagna wreszcie zdecydowała się zadzwonić po taksówkę, bateria w jej smartfonie padła, zupełnie jakby zmówiła się z akumulatorem.

I dlatego kwadrans przed północą Jaga szła przemarznięta pustą, ciemną ulicą, a jedynym jej pocieszeniem było to, że nie pada śnieg ani deszcz. Gdy dotarła do końca Żeromskiego, skręciła w lewo w Makuszyńskiego. Do bloku, w którym mieszkała z Arturem, pozostały jej nieco ponad dwa kilometry. Szła Grunwaldzką, gdy nagle usłyszała za sobą kroki. Zatrzymała się, kucnęła, udając, że zawiązuje sznurówki, i zerknęła za siebie. Miała nadzieję, że ktokolwiek za nią idzie, wyminie ją. Tymczasem ten ktoś również się zatrzymał. Ciemność nie pozwalała jej dostrzec, co on robi i dlaczego się nie rusza. Odczekała chwilę i postanowiła iść dalej. Osoba za nią również ruszyła. Serce Jagny zaczęło walić jak młotem, poczuła, że poca jej się dłonie. Szła najszybciej, jak mogła, lecz facet – tak, to musiał być facet, duży i silny – zamiast zostać w tyle, skracał dystans.

Wytała prawą dłoń o poły krótkiego płaszcza i sięgnęła do torebki. Pomiędzy portfelem, chusteczkami, pomadką, grzebieniem i kluczami do domu namacała twardej

przedmiot. Zacisnęła na nim palce, nie wyciągając ręki z torebki. Szła już tak szybko, że prawie biegła, i zaczynała jej brakować sił. Panika powoli przejmowała kontrolę nad ciałem i umysłem, a nogi robiły się coraz cięższe. Najgorszy był jednak słodkawy posmak w ustach, który sprawił, że zrobiło jej się niedobrze. Idąca za nią osoba coraz bardziej się zbliżała. Jagna słyszała już nie tylko odgłos jej kroków, ale też ciężki oddech. Zwolniła, postanawiając, że stawi czoło zagrożeniu, po czym zatrzymała się gwałtownie i odwróciła, jeszcze mocniej zaciskając dłoń na twardym przedmiocie w torebce i zamierzając zaraz go użyć.

Jej prześladowca również stanął. I Jagna usłyszała... dziewczęcy głos:

– O Jezu, ale mnie pani wystraszyła!

Przed nią stała nastolatka w puchówce i szerokich spodniach. Dlatego wyglądała jak mężczyzna.

Jagna z ulgą wypuściła powietrze.

– Ty mnie też!

– Ja? Panią?

– Idziesz za mną od jakiegoś czasu. Dlaczego się wcześniej zatrzymałaś?

– Bo nie byłam pewna, czy pani jest kobietą, czy mężczyzną. Chciałam zachować dystans. Nie lubię chodzić tędy sama. Niby w tym mieście jest w miarę bezpiecznie, ale mimo wszystko jakoś tak strasznie chodzić samej o tej porze ciemnymi ulicami.

Jagna powoli się uspokajała, lecz strach, który zmroził jej ciało, jeszcze nie odpuszczał.

– To co? Pójdziemy dalej razem? Będzie nam raźniej – zaproponowała.

– Chętnie – zgodziła się dziewczyna.

Ruszyły, dając sobie nawzajem poczucie bezpieczeństwa.

– Jestem Ewa – przedstawiła się dziewczyna. – Wracam od koleżanki, uczyłyśmy się, bo zaraz matura.

– Jagna, choć wszyscy mówią Jaga. Miło mi. – Nagle poczuła, że musi wyrzucić z siebie frustrację, która narastała w niej przez cały dzień: – Wracam z pracy, auto mi wysiadło, mój facet nie odebrał telefonu, który zresztą zaraz potem zdechł, i przez kilka minut myślałam, że ktoś mnie napadnie!

– Brzmi jak kiepski dzień.

– Żebyś wiedziała. Gdzie mieszkasz?

– Na Kościeliskiej.

– Ja na Stolarczyka.

Przez resztę drogi gadały o maturze i o remoncie mostu w centrum Zakopanego, który władze dopiero co zapowiedziały, więc zanosilo się na lato z jeszcze większymi korkami.

Pożegnały się w połowie ulicy Kasprusie i każda poszła w swoją stronę. Pięć minut później Jagna zamknęła za sobą drzwi mieszkania.

– Jestem! – rzuciła w stronę dużego pokoju, w którym na kanapie przed telewizorem siedział Artur. – Dzwoniłam, dlaczego nie odebrałeś? – dodała z wyrzutem, gdy zdjęła buty i stanęła w progu.

– Dzwoniłaś? – zdziwił się i sięgnął po telefon. – Faktycznie, nie słyszałem, musiałem wtedy być pod prysznicem, a zaraz potem poszedłem odgrzać sobie obiad.

– Akumulator mi padł, musiałam wracać na piechotę – oznajmiła.

– Cholera...

– A żebyś wiedział, że cholera. Tyle razy cię prosiłam, żebyś coś z tym zrobił. Tyle razy...

– Jutro się tym zajmę.

Jaga przewróciła oczami.

– Zawsze tak mówisz. Chyba masz hiszpańskich przodków, bo twoje drugie imię to *mañana* – rzuciła zgryźliwie i poszła do kuchni.

Stres powoli odpuszczał, choć mimo rozmowy z Ewą wciąż krążył w jej krwi i domagał się odreagowania. Jej dziąsła i język wciąż oblepiał słodki smak strachu. Nalala do szklanki wody z kranu i wypila duszkiem. Bardzo nie chciała wyżywać się na Arturze, ale nie było nikogo, kto mógłby być jej workiem treningowym, więc znowu stanęła w drzwiach dużego pokoju i wyrzuciła z siebie:

– Wiesz co, nie pamiętam, kiedy ostatnio zrobiłeś to, o co cię poprosiłam. Miałeś naprawić samochód, dorobić klucze, zapłacić rachunki... i nic. Nawet głupich śmieci nie wyrzucisz.

Artur oderwał wzrok od telewizora i spojrzał na nią nieprzytomnie.

– O co ci chodzi?

– O to, że nigdy nie mogę na ciebie liczyć ani o nic cię prosić!

– Na pewno o to?

Uderzyła pięścią we framugę.

– Nie, nie o to! – krzyknęła. – O to, że musiałam wracać sama po ciemku i o mało nie poszłam się ze strachu! A obiecałeś, że już nigdy nie będę się bała. A poza tym mam dzisiaj urodziny.

– Chodź tu do mnie. – Artur poklepał kanapę obok siebie, a gdy Jaga niechętnie usiadła, objął ją i powiedział: – Kotku, przepraszam, ale mam tyle roboty, że zupełnie wyleciało mi to z głowy. Wszystkiego najlepszego. Wynagrodzę ci to w weekend. I przepraszam, że nie odebrałem. Ale przecież mogłaś odczekać i zadzwonić do mnie jeszcze raz – zauważył, jakby chciał, żeby jednak jego było na wierzchu.

Jaga odsunęła się i spojrzała na niego uważnie. Coś jej nie grało, coś w tonie jego głosu. Zawsze miała dobre ucho, słyszała to, czego nie dało się rozpoznać. Artur pachniał niby tylko płynem do kąpieli i pastą do zębów, lecz ona wiedziała swoje.

- Dzwoniłam dwa razy, myślałam, że wezwali cię do pracy i dlatego nie możesz odebrać. - Milczała przez chwilę, nie spuszczać z niego wzroku. - Ile drinków już wypileś?

- Nie przesadzaj - prychnął Artur. - Dwa, no, może trzy, po pracy. To chyba nie przestępstwo? I nie zmieniaj tematu. Lepiej powiedz, dlaczego nie zadzwoniłaś do Łukasza?

- Było późno, nie chciałam zawracać mu głowy, a poza tym padł mi telefon, zapomniałaś?

- To mój brat i zawsze możesz zawracać mu głowę, przecież wiesz. Kto jak kto, ale moja narzeczona zawsze może to robić. On o tym wie i nigdy ci nie odmówi.

- Nie lubię prosić ludzi o przysługi.

- Aaa... to już nie moja wina - rzucił Artur z przekąsem, czym tylko znów ją zdenerwował.

- Jasne, zawsze wszystko to moja wina - mruknęła i wstała z kanapy.

Zanim poszła do łazienki, zatrzymała się w progu i chciała jeszcze rzucić jakąś złośliwą uwagę, lecz się powstrzymała i tylko patrzyła przez chwilę na Artura. Na jego wyraźnie zarysowane pod podkoszulkiem barki, na mocny kark i krótko ostrzyżone włosy, w których pojawiała się coraz więcej srebrnych refleksów. Starszy od niej o piętnaście lat, komisarz wydziału kryminalnego zakopiańskiej policji, nie był może miłością jej życia i wymarzonym partnerem, ale dawał jej to, czego najbardziej potrzebowała - poczucie bezpieczeństwa. Dlatego gdy pół roku temu jej się oświadczył, pozwoliła założyć sobie na palec pierścienek. Przecież zaręczyny do niczego nie zobowiązują.

Poszła do sypialni i podłączyła telefon do ładowarki. Gdy weszła do łazienki, było już dobrze po północy. Spojrzała w lustro. Nie uważała siebie za piękną, nie wyglądała jak laski z Instagrama, mimo to przyciągała wzrok niemal każdego mężczyzny. Mocno zarysowanych kości policzkowych mogłaby jej pozazdrościć niejedna modelka. Pełne usta wabiły, nawet nieumalowane. Ale tym, co najbardziej przykuwało uwagę, były oczy. Jedno zielone, a drugie niebieskie. Heterochromię odziedziczyła po matce, podobnie jak inne przypadłości związane z zespołem Waardenburga: pasmo białych włosów na czubku głowy pomiędzy ciemnobrązowymi gęstymi lokami i plamy bielacze na dekolcie, plecach, brzuchu i rękach.

Związała gumką włosy, zrzuciła ubranie i krzywiąc się na widok swojego ciała w lustrze, weszła do wanny. Zmyła z siebie brud i pot przesycony strachem. Nie zamierzała już nic jeść, więc wyszorowała zęby. Stres sprawił, że na myśl o jedzeniu robiło jej się niedobrze, choć jeszcze dwie godziny temu była głodna jak wilk. Włożyła flanelową piżamę, zabrała z kuchni butelkę wody mineralnej i wślizgnęła się pod koldrę. Artur wciąż oglądał telewizję. Gdy po kwadransie usiadł na łóżku i spytał: „Śpisz?”, nie zareagowała.

Ryszard i Barbara poznali się na studiach i od zawsze marzyli o domku w górach, jednak ich marzenie spełniło się dopiero wtedy, gdy przeszli na emeryturę. Wcześniej oboje byli związani zawodowo z Uniwersytetem Jagiellońskim – on jako profesor romanistyki, ona jako wykładowczyni językoznawstwa. Całe życie poświęcili nauce i nauczaniu kolejnych pokoleń studentów z pasją i zaangażowaniem, więc dla ukochanych Tatr czas mieli tylko w wakacje. Obowiązkowo raz w roku, na przełomie lipca i sierpnia, przyjeżdżali do Zakopanego i chodzili po górach. Kiedy zaczęło przybywać im lat i brakować sił na długie wycieczki, a tłok, hałas i wszechobecna tandeta w Zakopanem stały się nie do zniesienia, zaczęli jeździć do Kościeliska, gdzie zatrzymywali się u zaprzyjaźnionej gaździny.

Gdy wreszcie nadszedł czas emerytury, sprzedali mieszkanie w Krakowie i kupili w Kościelisku działkę, na której zbudowali drewniany parterowy domek. Taki, o jakim marzyli od zawsze: z kominkiem w salonie, werandą i dużym ogrodem, w którym Barbara hodowała rozmaite krzewy i kwiaty, w tym ulubione hortensje.

W zimie domek był ogrzewany piecem olejowym, a gdy tylko mróz odpuszczał, a dni stawały się cieplejsze, Ryszard rozpałał w kominku. Tego chłodnego wieczoru, tuż przed pójściem spać, dołożył do ognia kilka szczap i postawił przed kominkiem stalową kratkę przeciwiskrową. Drzwi prowadzące z salonu do sypialni zostawił szeroko otwarte, żeby ciepło paleniska mogło dotrzeć i tam. Położył się obok żony i jak zawsze sięgnął po tablet i słuchawki.

Być może to podcast kryminalny, którego wysłuchał, sprawił, że Ryszardowi przyśnił się koszmar. Obudził się spocony i roztrzęsiony w środku nocy i od razu poczuł, że coś jest nie tak. Z trudem sięgnął po telefon, żeby sprawdzić godzinę – była trzecia trzydzieści. Spróbował usiąść, lecz okazało się, że nie ma siły. Serce waliło mu tak mocno, że zastanawiał się, czy to zawał, czy echa sennego kosmaru.

– Basiu... – szepnął i pomacał ręką koldrę po swojej prawej stronie.

Barbara nie odpowiedziała. Nie zdziwił się, bo od lat używała zatyczek do uszu, żeby nie słyszeć jego chrapania.

– Basiu... obudź się... coś jest nie tak... źle się czuję...

I tym razem nie usłyszał odpowiedzi. Zebrał wszystkie siły, z trudem usiadł i włączył lampkę nocną. Zakręciło mu się w głowie, więc opadł na oparcie łóżka i powoli odwrócił się do żony.

– Basiu...

Nie poruszyła się ani nie otworzyła oczu. Szturchnął ją jeszcze mocniej. Nic. Zero reakcji. Odrzucił koldrę i spojrzął na jej pierś – unosiła się i opadała ledwie zauważalnie. Spróbował wstać, lecz znów zakręciło mu się w głowie i opadł na poduszkę. Poczł nudności, w ostatniej chwili udało mu się pochylić tak, że zwymiotował na podłogę, a nie na łóżko.

Wiedział, że dzieje się coś naprawdę złego. Odszukał w fałdach kołdry komórkę, a gdy podniósł ją do oczu, okazało się, że ikony na wyświetlaczu wirują i zlewają się w jedną kolorową plamę. Stukał palcem w ekran, mając nadzieję, że jakimś cudem trafi w książkę adresową i kontakt do goś, kto odbierze w środku nocy.

Ryszard nie wiedział, że czad, który przywędrował do sypialni, dokonał już spustoszeń w jego organizmie i osłabił go tak bardzo, iż nie było już dla niego ratunku.

Tymczasem w pewnej odległości od domu, w samochodzie zaparkowanym za dużą kępą krzewów siedział mężczyzna. Od stóp do głów ubrany na czarno, byłby zupełnie niewidoczny, gdyby nie białka jego oczu wpatrzonych w ekran smartfona. Kamery, które dwa miesiące temu zainstalował w sypialni emerytów, przekazywały na żywo obraz tego, co się dzieje. Ryszard od kilku minut leżał nieruchomo na łóżku, a telefon wypadł mu z ręki na podłogę.

Mężczyzna obserwował małżeństwo od wielu tygodni i dobrze poznał rozkład ich dnia. Wstawali bardzo wcześnie, tuż przed szóstą rano, i rozpoczynali poranek od filiżanki kawy. W ciągu dnia zajmowali się drobnymi pracami domowymi, robili zakupy, czytali książki i oglądali telewizję. Punktualnie o osiemnastej jedli kolację i brali leki, potem siadali na kanapie i oglądali serwis informacyjny, a później jakiś film. Koło dwudziestej pierwszej brali prysznic i kładli się do łóżka. Ona zazwyczaj czytała jeszcze przez pół godziny, a on w tym czasie dokładał do kominka ostatnią porcję drewna i słuchał czegoś przez słuchawki. Zasypiali po dwudziestej drugiej.

Tego wieczoru, gdy tylko mężczyzna upewnił się, że Ryszard i Barbara już śpią, wspiął się ostrożnie na dach, wrzucił do komina zdechłego kota, po czym wsiadł do

samochoodu i czekał. Czas mijał, a zabójczy czad rozpoczął wędrówkę po domu. Kiedy dotarł do sypialni starszych państwa, przyniósł im śmierć.

Gdy tylko mężczyzna zobaczył, jak Ryszard wymiotuje, wiedział, że szanse na to, by ci ludzie przeżyli, są zerowe. Przymknął oczy i kładąc dłoń na sercu, wyszeptał po raz trzeci tej nocy:

– Przebacz mi, Boże. Przebacz mi to, co musiałem uczynić. Gdy stanę przed tobą, osądzisz mnie i moje czyny. Bądź wtedy miłosierny dla twojego sługi.

Kilka minut później rozejrzał się, by sprawdzić, czy nikt nie nadchodzi. Na szczęście o czwartej rano większość ludzi jest pogrążona w głębokim śnie. Tylko nieliczni wstają, żeby pójść do pracy na poranną zmianę – jednak w tym regionie nie było fabryk ani zakładów, do których mogliby spieszyć o tak wczesnej porze mieszkańcy Kościeliska, a dwie osoby pracujące w zakopiańskiej piekarni mieszkały w innej części wsi.

Wysiadł z samochodu. Jego ostatnim zadaniem tej nocy było usunięcie ukrytych w domku kamer. Wszedł do środka, używając klucza, który dorobił jakiś czas temu, i ruszył prosto do pokoju, gdzie snem wiecznym spali Ryszard i Barbara. Poruszał się sprawnie i szybko, bo przed wejściem nabral głęboko powietrza i zamierzał je wypuścić dopiero na dworze. Zabrał kamerę z sypialni oraz drugą z salonu i wybiegł z domku. Rozejrzał się po raz ostatni, wsiadł do samochodu i ruszył do domu, mając nadzieję, że uda mu się zdrzemnąć, zanim przyjdzie czas na pobudkę i codzienne obowiązki.

Jaga zasnęła. Wieczorem była tak zestresowana i wściekła, że zasnęła dopiero przed czwartą rano. Gdy o ósmej zadzwonił budzik, wyłączyła go i nawet nie zauważyła, jak znów zapadła w drzemkę. Obudził ją sygnał komórki. Przetarła oczy i spojrziała na wyświetlacz. Była dziewięta trzydzieści, dzwoniła naczelną.

– Słucham – powiedziała, starając się, by jej głos brzmiał rzeźko i energicznie, ale chyba nie bardzo jej to wyszło.

– Biernacka! Czy ty śpisz? Za pół godziny zaczynamy kolegium, a ty miałaś być dzisiaj u mnie o dziewiętej. Zapomniałaś?

Zapomniała. Przez ten cholerny stres zapomniała o wszystkim.

– Nie, szefowo, nigdy w życiu. Samochód mi wysiadł, a do tego od rana mam kłopoty żołądkowe, ale na kolegium zdążę, jestem prawie gotowa, taksówka pojedzie pod dom lada chwila – skłamała bez mrugnięcia okiem.

– Lepiej, żeby tak było. – Naczelną rozłączyła się, nie dając dziewczynie możliwości brnięcia w kłamstwo.

– Cholera! – zakląła Jaga, wyskoczyła z łóżka i popędziła do łazienki.

W ekspresowym tempie umyła twarz i zęby, włosy związała w kucyk i nałożyła podkład na twarz. Nie miała czasu zastanawiać się nad tym, w co się ubrać, więc wciągnęła dzinsy, a gdy rzuciła okiem na termometr za oknem – były trzy stopnie – wyjęła z szafy gruby granatowy golf i puchową kamizelkę.

W przedpokoju złapała torebkę i już miała wyjść, gdy przypomniała sobie, że jej samochód stoi unieruchomiony na drugim końcu miasta. Zadzwoiła na Radio Taxi i zbiegając po schodach, miała nadzieję, że kierowca zjawi się na czas.

Gdy dotarła do redakcji, wybiła dziesiąta. Rzuciła kamizelkę na swoje biurko i zbiegła na dół, gdzie znajdował się spory pokój z dużym stołem, przy którym siedzieli już wszyscy pracownicy „Tygodnika Podhalańskiego”.

Czwartek to dzień, w którym ukazuje się nowy numer „Tygodnika”, to także dzień, w którym odbywa się kolegium, planowany jest kolejny numer, a naczelna przydziela tematy. Jaga usiadła na swoim stałym miejscu, nie podnosząc wzroku, żeby nie napotkać jej karcącego spojrzenia.

Anka Sołtys była ostra jak brzytwa i nie lubiła braku dyscypliny. Dwadzieścia lat, które przepracowała w zakopiańskim liceum ogólnokształcącym jako nauczycielka języka polskiego, sprawiły, że dyscyplinowanie innych weszło jej w krew. Choć nie uczyła już od dekady, to wciąż odzywała się do swoich podwładnych, jakby nie zauważała, że to dorośli. I prawie zawsze po nazwisku. Jak w szkole. Od razu naskoczyła na Jagę:

– Biernacka, dobrze wiesz, że nie tolerujemy w naszej redakcji spóźnialskich.

– Szefowo, jest punkt dziesiąta. Nie spóźniłam się. – Jaga próbowała się bronić, choć dobrze wiedziała, że to na nic.

– Chyba zapomniałaś, że pyskówkę też nie tolerujemy. Owszem, jest dziesiąta, ale nie wpadamy w ostatniej chwili.

– Przepraszam, szefowo.

Dyskusowanie z Sołtysową nie miało sensu. Jaga wiedziała, że najlepszym sposobem na przetrwanie kryzysu będą pokora i przeprosiny.

Przy stole siedziały jeszcze cztery osoby i każda z nich wbijała wzrok w stół. Pierwszy wylał się zastępca naczelnego, Grzegorz Staszek, który podniósł głowę i oznajmił rzeczowo:

– W tym tygodniu na jedynekę dajemy artykuł o radnym Kilińskim i jego przekrętach z działkami. Mariusz, masz już wszystko?

Mariusz Krupski, będący w zespole dziennikarzem śledczym, pokiwał głową i potwierdził:

– Tak, prawie skończyłem. Muszę jeszcze tylko, proszę ja ciebie, zweryfikować kilka danych w geodezji.

– A zdjęcie? – spytała naczelną. – Mamy dobre zdjęcie?

– Tak. Mam takie, na którym radny stoi z jakąś mapą i wskazuje coś palcem. Możemy je podpisać: *Radny Kiliński sam już nie wie, ile ma działek.*

Anka Sołtys nie wyglądała na zachwyconą.

– Nie, nie, wymyśl coś innego. No, ale dobrze, to jedynekę mamy. Lecimy dalej. Wczoraj w Kościelisku doszło do zaczadzenia małżeństwa emerytów. Trzeba się tym zająć, pojechać, popytać, dowiedzieć się, co tam zaszło. Na dzisiaj potrzebuję krótkiej notki na stronę internetową i na media społecznościowe, ale chcę większy materiał do kolejnego numeru.

– Ja! – wyrwała się Jaga. – Ja się tym zajmę.

Naczelną zmrużyła oczy i powoli pokręciła głową.

– Nie. Zajmie się tym Kalucka.

– Renata? – Jaga nie kryła zdziwienia. – Ona dopiero zaczęła tu pracę. Miała zajmować się sportem i kulturą. Szefowo, szefowa wie, że ja potrafię w śledcze tematy. Proszę!

– Nie! – ucięła naczelna. – Powiedziałam, że zajmie się tym Renata, i koniec. Żadne śledztwo nie jest potrzebne. To zwykle zaczadzenie, zdarza się. Ty, Jaga, zajmiesz się świętami.

– Świętami? – jęknęła Jaga.

Sołtysowa prychnęła zniecierpliwiona:

– Tak, świętami. Przecież niedługo Wielkanoc. Zrobisz duży artykuł do działu kultury na temat podhalańskich zwyczajów i tradycji wielkanocnych. Pojedziesz do Bukowiny czy tam Białki albo innego Dzianisza i pogadasz z góralami. O palmach, koszyczkach, malowaniu jajek i wszystkim, co się wiąże z tymi świętami. Masz na to dwa tygodnie.

– Ale ja...

Naczelna nie pozwoliła jej dokończyć:

– Powiedziałam „nie”. – Odwróciła głowę i spojrzała na siedzącego po jej lewej stronie Grzegorza.

– A ty – zwróciła się do niego – zajmiesz się samowolą budowlaną na Bachledzkim Wierchu. Znowu coś się tam dzieje. A przy okazji quadami. Tymi, co jeżdżą po cudzych polach.

Jaga siedziała z rękami skrzyżowanymi na piersi, ukryte pod pachami dłonie zaciskała w pięści i raz po raz rzucała gniewne spojrzenia w stronę Renaty Kałuckiej, która dołączyła do ich zespołu zaledwie dwa miesiące temu. Śliczna filigranowa blondynka, świeżo upieczona pani magister kulturoznawstwa, która przyjechała do Zakopanego, bo wydawało jej się, że to wciąż miasto cyganerii i inteligencji, na początek miała się zajmować sportem,

horoskopami i pisać jakieś zapchajdziury, więc temat o zaczadzonych emerytach powinna dostać Jaga. Pracowała w „Tygodniku” od trzech lat i bardzo starała się udowodnić, że jest sprytna i dociekliwa, jak na dziennikarza śledczego przystało, jednak naczelna pomijała ją przy przydzielaniu najciekawszych tematów.

Nie mogąc ściągnąć wzrokiem Renaty, która uparcie coś notowała i udawała, że nie czuje na sobie wrogiego spojrzenia, Jaga przerzuciła się na Grześka, jednak i on wbił wzrok w leżącą przed nim kartkę. Jediną osobą, która nawiązała z nią wreszcie kontakt wzrokowy, był Mariusz. Wzruszył lekko ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Przykro mi, ale co zrobisz, nic nie zrobisz”, po czym puścił do niej oko, co się Jagnie nie spodobało, ponieważ Krupski, gwiazda śledcza „Tygodnika”, miał żonę, a od takich trzymała się z daleka.

Ostatnią osobą, u której spróbowała znaleźć wsparcie, była Gośka Dubiel. Niewiele brakowało jej do emerytury, pracowała w „Tygodniku” od samego początku i zajmowała się publicystyką i kulturą. Ona jednak całą swoją uwagę poświęcała guzikom żakietu i ani myślała spojrzeć na Jagę.

Gdy tylko naczelna rozdzieliła tematy, Jaga zerwała się z krzesła i do niej podeszła.

– Nawet ze mną nie dyskutuj, Biernacka! – warknęła szefowa, nim Jaga zdążyła się odezwać.

Ale ona nie zamierzała łatwo się poddać.

– Proszę dać mi ten temat. Za tym stoi coś więcej – przekonywała. – W tym roku w Kościelisku były już dwa pożary. Czuję, że to coś dla mnie.

– Jaga, dość! Bo wylądujesz w dziale reklam i ogłoszeń. – Sołtysowa obróciła się na pięcie i wymaszerowała z pokoju, głośno stukając obcasami.

Co za pinda, pomyślała Jaga, usiadła przy stole i ukryła twarz w dłoniach, żeby się uspokoić.

– Nie załamuj się – usłyszała nad sobą cichy głos Mariusza. – Jeszcze dostaniesz swoje śledztwo. Wkurzyła się na ciebie już rano. Podobno, proszę ja ciebie, miałaś być u niej o dziewiątej.

– Noo...

– Chcesz jechać na kawę?

– Z tobą?

– Nie, z papieżem. Opowiem ci o tym radnym, jaki z niego kawał chuja.

– Dzięki, ale nie. Muszę ogarnąć samochód, wiesz, mechanik, akumulator... – Westchnęła.

– Jakby co, masz mój numer. – Już się odwracał, żeby odejść, gdy nagle zatrzymał się i rzucił: – A wiesz, jak odróżnić byka od krowy?

Jaga przewróciła oczami. Wiedziała, że za chwilę usłyszy nieśmieszna puentę kolejnego seksistowskiego dowcipu, bo tylko takie opowiadał.

– Nie. I w ogóle mnie to nie interesuje – odparła z nadzieją, że tą odpowiedzią pozbędzie się namolnego kolegi.

– Jak doisz byka, to on się uśmiecha. – Mariusz wybuchnął śmiechem, odwrócił się i wreszcie sobie poszedł.

Był w wieku Artura, w połowie drogi między czterdziestką a pięćdziesiątką, i od roku przechodził kryzys wieku średniego. Za wszelką cenę próbował udowodnić innym i sobie, że wciąż jest atrakcyjny i ma branie. Zaczął oglądać się za młodszymi kobietami, zamienił spodnie w kant na dzinsy z dziurami na kolanach i kupił sobie motor. Zrzucił dziesięć kilo i zaczął się strzyc bardziej nowocześnie. Oprócz przemiany wizerunkowej nastąpiła także mentalna: pozwalał sobie na coraz mniej wybredne

komentarze dotyczące wyglądu żeńskiej części zespołu redakcyjnego i coraz częściej rzucał seksistowskimi żartami i tekstami. W Jadze czasami budził wstręt, a czasami politowanie, zwłaszcza gdy co chwila wtrącał „proszę ja ciebie”, jak jakiś stary pierdoła, co było dziwne, bo artykuły pisał niezłe. Zastanawiała się, jakim cudem przetrwał studia i dojrzał do magisterki.

Gdy wreszcie zniknął, do Jagi podeszła Renata.

– Jaga, przepraszam, nie wiem, co powiedzieć, no głupio wyszło. Przysięgam, że nie prosiłam o ten temat – powiedziała, nawijając jasny kosmyk włosów na palec wskazujący.

– Jasne – odparła Jaga tonem, który wyraźnie świadczył o tym, że jej nie wierzy.

– Jaga, serio. Oddam ci ten temat. Z przyjemnością.

– Tak, a naczelna zje mnie na kolację. Zatrzymaj go sobie.

Wstała i odwróciwszy się plecami do Renaty, poszła w stronę schodów. Tam zatrzymał ją Grzesiek.

– Jaga, głowa do góry. Stara pojedzie w maju na urlop, ja będę przydzielał tematy i dam ci coś, żebyś mogła się wykazać. Dostaniesz swoje pięć minut.

– Dzięki, Grzesiu. – Uśmiechnęła się i położyła mu dłoń na ramieniu.

Lubiła tego doświadczonego dziennikarza. Zawsze pogodny, z dobrym słowem, wspierał każdego bez wyjątku. Był dobrym duchem „Tygodnika”, wszystkim tym, czym nie była naczelna, i to do niego zwracali się pracownicy redakcji ze swoimi problemami. I choć do siedemdziesiątki zostały mu już tylko dwa lata, nikt nie chciał słyszeć o jego odejściu na emeryturę. On chyba też nie.

Jaga usiadła przy swoim biurku i oparła głowę na rękach, wbijając wzrok w klawiaturę komputera. Zwyczajnie

wielkanocne obchodziły ją tyle co zeszłoroczny śnieg. No ale co robić, jakoś to ogarnie, napisze pasjonujący artykuł o polewaniu się wodą z wiader. Najpierw jednak musi się zająć unieruchomionym samochodem. Właściwie nie miała do kogo zadzwonić, więc wybrała numer Łukasza, żeby jej przyszły szwagier mógł się wykazać.